№ 42

Warszawa, dnia 15 Października 1864 r.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr.3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).—**W Cesarstwie i Królestwie**, z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.—Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

OBRAZKI Z PRZESZŁOŚCI
niektórych miast dawnéj Małopolski.

I.

RADOM. — NAJDAWNIEJSZE WSPOMNIENIA I SZACH-ACHMET.

Ktokolwiek patrząc na dzisiejszy Radom, na jego piętrowe obszerne kamienice, gmachy rządowe, rojącą się ludność chciałby powziąść jakieś wyobrażenie o dawnym jego stanie, ten utworzyłby sobie obraz niezmiernie fałszywy, tak niezgodny z prawdą, jak jest odległą przestrzeń czasu oddzielająca nas od dalekiéj przeszłości tego miasta.

Sięgając badaniami w te dawne przymroczone wieki, kiedy na całéj przestrzeni okolic dzisiejszego Radomia szumiał las starodrzewny, napełniony wrzawą głosów dzikiego ptastwa, mrukiem niedźwiedzi, wyciem wilków, bekiem sarn i jeleni, spostrzeżemy naprzód w r. 1187, w miejscu dzisiejszéj Fary istniejącéj pod wezwaniem Ś-go Jana Chrzciciela, kościołek drewniany wystawiony przez Kazimierza Sprawiedliwego, który w pośród dzikiéj przyrody, leśnéj gęstwiny i otaczającéj go samotni, wyglądał jak pustelnik dobrowolnie skazujący się na pokutę i rozmyślania. Później w kilka dziesiątków lat już znajdują się wzmianki, że na górze niedalekiéj zwanéj Piotrówka, stał zamek obronny, fundowany zapewne jednocześnie, albo mało co późniéj, razem z kościołem.

Przy opiece zatém możnego pana, otoczonego licznym zastępem wojowników, przytulając się do domu Bożego, stawały na prędce uklecone domostwa, zaludniając się pracowitą ludnością, która trzebiąc lasy i wchodząc z zapasy ze srogim zwierzem, coraz bardziéj okrąg swéj własności rozszerzała.

Zajmowanie to dzikiéj puszczy, jak na owe mało ludne czasy, pod władzę człowieka, musiało dosyć szybko postępować, kiedy w kilkadziesiąt lat późniéj, na początku XIV wieku, Radom już dzielił się na dwa miasta stare i nowe i Kazimierz W.

w roku 1360 prawa i uposażenia ze starego Radomia przeniósł na nowe. Podział ten przetrwał aż do dnia dzisiejszego i nazwa starego Radomia przywiązana jest do części na wzgórzu położonéj.

Kazimierz W. szczególny miłośnik łowów, zajeżdżał często do Radomia używać téj rycerskiéj prawdziwie rozrywki. A nie były to radosne zebrania dzisiejszych myśliwych na ściganie płochéj sarny, szaraka lub lisa, ale prawdziwe wyprawy wojenne na czarnego słoniowéj wielkości tura, na ogromnego o żelaznéj twardości rogach żubra, na centowatego rysia przezywanego tygrysem, na szarego strasznego w napadzie niedźwiedzia, pieniącego się w pośród psiarni odyńca, albo wreszcie na srogiego wilka, który chodząc licznemi stadami rozsiewał popłoch między dzikim zwierzem, mieszkańcem równie dzikiéj przyrody.

Pomiędzy temi panami gąszczu leśnego, gdzieniegdzie na moczarach, zamieszkiwały całe rodziny bobrów, czasami jeszcze przewinął się i sobol, a sarny, jelenie przemykały się całemi stadami gasząc pragnienie w licznych jeziorach i płosząc kąpielą wśród upałów, chmary rozlicznego wodnego ptastwa, które wzbijając się w górę zagniewanym krzykiem, przygłuszało brzęk pracowitych rojów pszczolnych. W pośród tych gromad o silnych kłach, strasznych rogach, i ostrych zębach, kryły się po jamach, wypróchniałych pniach i kryjówkach leśnych roje kun, tchórzy, łasic, wydr, popielic, a biedny szarak przytulając słuchy, siedział w ukryciu przez dzień cały, zaledwie ośmielając się nocną porą wyjść na żerowisko. Czasami parskając i strzygąc uszami na polankę zasłaną trawą, wysunął się koń dziki, i grzebiąc kopytem rżeniem przywoływał towarzyszy. Za czasów jednak Kazimierza W. przedtém bardzo rozpleniony koń dziki stał się rzadkim i siedzibę swoją rozszerzając aż po nadodrzańskie wybrzeża, w XV wieku stał się już tylko mieszkańcem lasów litewskich. W lasach więc tych, choć bezludnych, wrzało życie, rozlegały się rozliczne głosy, staczały się krwawe walki pomiędzy dziczyzną, ale wszystko to milkło truchlejąc z przerażenia, gdy się dał słyszéć odgłos rogu myśliwskiego, zwiastującego wyprawę na grubego zwierza, tura lub żubra, wystawianego jedynie na pocisk możniejszych narodu. Polowania bowiem na nich pospolitego ludu, prawo surowo wzbraniało, za to do woli cieszono się z niedźwiedziem, wilkiem, odyńcem i drobniejszą gawiedzią leśną, których łowy wszystkim były dozwolone. Wolność zaś ta była konieczną, bo drobiazgu tego tak była niepoliczona liczba, że gdyby nie pilna straż w dzień i w nocy, gdyby nie kusza zawsze napięta i gotowa do wyrzucenia pocisku, posiewy i zbiory zawsze zostałyby przez nie zniszczone, a człowiek z dobytkiem zjedzony. To więc zmuszało do ciągłéj pilności i baczenia na swe bezpieczeństwo, rozwijalo zamiłowanie myślistwa, któremu wszyscy bez wyjątku chcąc nie chcąc poświęcać się musieli. Kazimierz W. często z licznym dworem zjeżdżał do Radomia, a staranny w umacnianiu grodów, miasto opasał murem i wystawił nowy zamek w którego szczątkach obecnie mieści się hypoteka.

Kiedy jednak zamek ten był w całéj swéj świetności, kiedy go otaczał mur wysoki zewnętrzny, drugi mur wewnętrzny z wieżami i bramami dotykający do wałów miejskich, kiedy przekopy napełnione były wodą, a na blankach i tarasie czuwały zbrojne straże, musiał wówczas wyglądać bardzo wspaniale, i przedstawiać się nader malowniczo w pośród ówczesnéj dzikiéj lesistości. W tych czasach swéj minionéj świetności, po piętrach dolnych i górnych, mieszczących w sobie według znajdującego się opisu, obszerne kuchnie, komory składowe, piekarnie, izby, izdebki, sklepy, sklepiki, komnaty wielkie i małe, roiła się liczna dwornia królewska, nadsługując przybywającym panom, w celu narady z dostojnym monarchą nad losami państwa, lub użycia miléj wszystkim myśliwskiéj rozrywki. Pod gmachami znajdujące się piwnice, zawierały zapewne nie jedną bęczkę węgrzyna lub małmazji, któremi racząc się przybyli goście napełniali cały gmach gwarem ożywionéj rozmowy, w jakiéj chełpliwość rycerska lub myśliwska nie pospolitą musiały odgrywać rolę. Sądząc zas po licznych w spisie wymienionych dębowych ławach i stołach mieszczących się na środku komnat i przy ścianach, oknach w ołów oprawnych, drzwiach fladrowanych, gankach ze słupami kamiennemi, piecach polewanych, kominach marmurowych, listwach i pokładzie czyli suficie malowanym i zasypanym pozłocistemi kwiatami, to łatwo z tego wnieść że jeżeli zamkowi Radomskiemu nie brakowało na wewnętrznéj ozdobie, nie brakło mu także miejsca i wygody na pomieszczenie licznych tłumów gości. To też za czasów Jagiellońskich często zajeżdżali do niego królowie i królowe goszcząc w nim czasami i po kilka miesięcy, a knieje leśne po całych dniach rozlegały się odgłosem rogów i wesołemi pokrzykami myśliwskiéj drużyny.

Obok jednak zabawy, odbywały się w Radomiu często narady sejmujących panów. Jeden sejm z pamiętniejszych miał miejsce za czasów Aleksandra Jagiellończyka w r. 1505 na którym stawał Szach-Achmet han nadwołgańskich Tatarów. Na lat cztery przedtém, trapiona była Polska częstemi napadami Mengligiereja hana tatarskiego, podju-

rzanego do tych krwawych wycieczek przez Stefana wojewodę wołoskiego. Szach-Achmet nienawidząc Mengligiereja i pragnąc go pognębić, zawarł przymierze z Królem Janem Olbrachtem, przyrzekając wystąpić zbrojno przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi. Była to więc wyborna pora do ukrócenia napastnika i skruszenia jego potęgi raz na zawsze. Ale powolne działanie Jana Olbrachta do wysłania koniecznych posiłków, nie przyniosły spodziewanych korzyści. Szach-Achmet nie przypuszczając jednak opuszczenia, wierny umowie posunął się z wojskiem i rozłożył obozem po nad Dnieprem, oczekując na przybycie spodziewanego wojska i razem z niém rozpoczęcie zaczepnego działania. Ale upływały dnie i tygodnie a nawet miesiące, a Szach-Achmet stał bezczynnie zjadając zapasy obozowe i lękając się co chwila napaści przemożnego nieprzyjaciela. Tymczasem zawarcie pokoju ze Stefanem wojewodą wołoskim i spokojne zachowywanie się Mengligiereja, a późniéj nastąpiona w Czerwcu śmierć Jana Olbrachta, do reszty odebrała panom koronnym ochotę do wspomagania zbrojnego Szacha-Achmeta, tak dalece że go prawie zupełnie wypuszczono z pamięci.

Kiedy więc w listopadzie nowo obrany król Aleksander zjechał do Krakowa, przybyło także do niego poselstwo od Szacha-Achmeta i przedstawiwszy w żałosnych słowach opłakane hana położenie, głód, nędzę, wojsko i niebezpieczeństwo w jakim pozostaje, domagało się na gwałt posiłków, aby połączonemi siłami uderzywszy na Mengligiereja, mogło go znieść i przywieść do upokorzenia. Ponieważ domaganie się to oparte było na zawartéj umowie że zmarłym królem, i wręcz odmównéj, nie można mu było udzielić odpowiedzi, nowo wstępujący władca, oświadczył że od posiłków nie odbiega, i jak tylko ułatwi się z obrzędem koronacyjnym, natychmiast takowe wyśle hanowi do wspólnego z nim działania. Ale była to tylko obietnica nigdy się nie mająca spełnić, po wyjeździe też posłów natychmiast o niéj zapomniano. Jak też nadszedł grudzień, a z nim mrozy razem z powiększającym się głodem, niezmiernie dokuczające pułkom Achmeta, wojsko zaczęło się niecierpliwić, szemrać i odrzucając wszelkie względy w znacznéj części razem z żoną swego hana, uciekło do Megligiereja. Był to cios straszny dla nieszczęśliwego Szacha-Achmeta, i widząc że go wszystko zawodzi nawet własna żona, postanowił odwrót, ale dognany pod Kijowem przez Mengligiereja, w walnéj bitwie stracił resztę wojska i sam zaledwie uchronił się od śmierci. Nie widząc co ma z sobą zrobić, lękając się jako wódz upadły zarówno nieprzyjaciół jak sprzymierzeńców, w pierwszéj chwili chciał się oddać pod opiekę sułtana, ale ostrzeżono go że w takim razie wydany zostanie swemu nieprzyjacielowi, który zapewne nie omieszkałby korzystać ze sposobności pozbycia się raz na zawsze nienawistnego sobie wroga. Wybierając więc z dwojga złego, choćiaż wiedział że między dostojnikami korony ma wielu sobie nieprzychylnych którzy całą winę niepowodzenia starać się będą zwalić na niego, a nawet może i zgubić, udał się do Kijowa. Przeczucie go nie omyliło, bo zaraz ujęty pod straż, odesłany został do Wilna, aby się wytłumaczyć z czynów swoich i z całego wojennego działania. Poczuwając najgorsze dla siebie następstwa, widząc że mściwy Megligieréj, nie pominie ani chytrości, ani podstępu, ani najhaniebniejszéj potwarzy, aby spowodować zgubę jedynego nieprzyjaciela który go znał dobrze i oszukać się nie dał jego przebiegłą nikczemnością, korzystając z niezbyt pilnego siebie strzeżenia, umknął z Wilna, ale dopędzony w drodze, osadzony został pod silniejszą strażą, bardziéj już niż przedtém do więzienia zbliżoną. Wszystko to działo się w końcu samym r. 1501 i zaraz na początku następnego 1502, a potém zaraz z wiosny wpadli tatarzy w dzierżawy koronne i zagony swe rozpuścili aż do ziemi Sandomierskiéj. W rok potém znowu napad ponowiony został, a nadto i Stefan wojewoda wołoski zajął Pokucie.

Na sejmie w Lublinie uchwalono znaczny podatek na wojsko, w celu trzymania na wodzy tak Stefana z Włochami jak i Tatarów, zapominając zupełnie o więźniu, który pod tym względem największą mógłby Rzeczypospolitéj przynieść usługę. Utworzone jednak wojsko w roku następnym 1504, Pokucie rzeczywiście odebrało, a Tatarzy widząc gotowość do odparcia napaści, siedzieli w ciszy wyglądając z upragnieniem, sposobnéj do wystąpienia pory.

Tymczasem Stefan wojewoda wołoski umiéra, i Bogdan syn jego obejmuje rządy. Był to człowiek innego już usposobienia od ojca, a przynajmniéj pragnął szczerze zbliżenia się do Rzeczypospolitéj i złączenia się z nią ścisłemi nierozerwanemi węzłami. W tym celu wyprawił poselstwo do Krakowa z prośbą o rękę królewny Elżbiety siostry króla Aleksandra. Było to przedstawienie nadzwyczaj wiele obiecujące korzyści, bo nader czynnego nieprzyjaciela przemieniało w spokojnego a nawet dobrego sąsiada, i przygotowywało czujnego strażnika nad hordą tatarską, która idąc na zdobycz w ziemie Polski, zawsze odwrót miałaby sobie zagrożony. Rozsądniejsi zatém związku tego niezmiernie pragnęli, zwłaczcza że w razie odmowy słusznie obawiali się zemsty młodego wo-

jewody, przeciąganéj w bardzo może długie lata, i zrywającéj tym sposobem raz na zawsze wszelkie tak upragnione stosunki przyjaźni. Ale duchowieństwo z pobudek czysto religijnych, szukając związków tylko z katolikami tak radą swą przeważnie wpłynęło na wolę królewską. że król Aleksander zaczął się z odpowiedzią ociągać, majaczyć, aż wreszcie powtórnie wyprawionemu poselstwu oświadczył, że siostry swéj Elżbiety nie wyda inaczéj za syzmatyka Bogdana, aż ten z całym narodem Wołochów, przejdzie na łono kościoła łacińskiego. Wojewoda odmówił i układ z wielką szkodą narodu, nie przyszedł do skutku; zawsze jednak choć pozory przyjaźni zachowane zostały, co na uwięzionego Szach-Achmeta korzystnie nie mogło wpływać.

Siedział też biédak pilnie w Wilnie strzeżony, aż wreszcie wezwany został do Brześcia nad Bugiem, gdzie na początku roku 1505, zjechał i król Aleksander, w celu uśmierzenia nieporozumień pomiędzy panami korony i Litwy, przez zbyt wygórowaną dumę Michała Glińskiego sprawionych. Widocznie król uznawał niesprawiedliwość postępowania z więzionym hanem, litował się nad jego losem, skoro mając sobie doniesione że Szach-Achmet zbliża się do Brześcia, wyjechał na jego spotkanie i powitał z wielką bardzo uprzejmością. Rozrzewniony han nabrał serca, spodziewając się końca niedoli, która go twardem brzemieniem lat cztery przygniatała. Wezwany zatém na sejm do Radomia, z wielką ochotą udał się w podróż razem z całym dworem królewskim. Tu jednak w prędce poznał, że nieprzyjaciela pilność, wszędzie otacza go zasadzkami, potwarzami z pomiędzy których wybrnąć szczęśliwie, będzie mu niezmiernie trudno. Nie tylko bowiem nie przyznawano przyrzeczenia posiłków przez zmarłego Jana Olbrachta i zawarcia jakiejkolwiek stanowczéj przeciw Mengligierejowi umowy, ale nawet późniejsze napady tatarskie zwalano na Szacha-Achmeta, jako niby następstwa zgwałconego przez niego przymierza Tatarów z Polską.

W pośród sejmującego koła, wysłuchawszy więzień tak niesprawiedliwych zarzutów, powstał i wyrzekł te pamiętne słowa:

— „Wierny prawdzie, z narażeniem nawet mego żywota, nie porzucę jéj, aby się puścić na kręte ścieszki fałszu i kłamstwa. Wielki królu! szczera przyjaźń dla narodu Polskiego powodowała mojemi sprawami, i dlatego razem z Rzecząpospolitą chciałem skarcić chytrego wroga i wspólnego nieprzyjaciela. Na mocy przyrzeczenia posiłków, wywabiony zostałem z za Wołgi, potém opuszczony bez żadnéj pomocy, oddany zostałem na pastwę mrozu, głodu i zemstę silnego nieprzyjaciela. Uległem więc, a w zamian żalu i współczucia od Was miłościwy królu i dostojnicy koronni.... winę całą zwalono na mnie i jak zbrodniarza osadzono w Wilnie w więzieniu. Przeczuwam zgubę swoją, ale Bóg sprawiedliwy zarówno złe jak dobre sowicie odpłaca i kiedyś sprawę moją z tobą miłościwy panie sądem sprawiedliwym roztrzygnie, i za zgwałconą przysięgę, za nędzę moją i rzewliwe utrapienia, pomstę sowitą wymierzy.”

Sąd poruszony sprawiedliwemi wyrzutami, zezwolił na wyprawienie brata Szach-Achmeta za Wołgę po wojsko, samego zaś obwinionego wysłano do Trok na swobodne mieszkanie. Ale sejm jeszcze nie został ukończony, kiedy nagle na Radomskim zamku, król Aleksander został ruszony paraliżem. Odwołanie się więc Tatarzyna do sądu Bożego, nie było daremne, ale nie wyprowadziło z nieszczęścia biednego więźnia. W tym samym bowiem roku w Październiku, król Aleksander przyszedłszy cokolwiek do zdrowia, zjechał do Lublina, a za nim pospieszyły dwa poselstwa tatarskie, jedno od Tatarów zawołgskich upraszające o uwolnienie Szach-Achmeta, drugie od Mengligiereja, obiecujące trwałą przyjaźń sąsiedzką, pod warunkiem jednak trzymania ciągle Szach-Achmeta pod najściślejszą strażą. Król idąc za radą doradzców, przeważył się w brew słuszności za stroną silniejszą i Szach-Achmet z całym swym orszakiem i przysłanemi posłami stawiony przed sąd, skazany został na więzienie w Kownie. Więzień pojmując że zrobiono z niego ofiarę, dla zyskania przyjaźni Mengligiereja, w sprawiedliwém rozżaleniu rzekł w proroczém natchnieniu.

— „Los mój oddaję w ręce Boga; niesprawiedliwość jakiéj doznaję spadnie na wasze głowy, bo nieludzkim czynem rzetelnéj przyjaźni Mengligiereja nie zaskarbicie, i wkrótce doznacie skutków z tego.”

Przepowiednia znowu się ziściła, bo po upływie zaledwie pół roku, w Maju r. 1506, Mengligieréj z perekopskiemi Tatarami wpadł do Rusi i spustoszywszy ją, samych jeńców uprowadził sto tysięcy. We dwa miesiące ponowił znowu napad w Sierpniu najazdem na dzierżawy litewskie, ale usadowiwszy się pod Kleckiem, rozbity został przez Glińskiego Michała, tak że w samych zabitych zostawił na placu 30,000, i sam zaledwie ze szczupłym oddziałem zdołał ujść przed pogonią. Niesprawiedliwość więc krwawe wydała owoce, bo posłannictwo narodu obrony chrześcijaństwa i cywilizacji, tylko na drodze zacnych czynów winna się była rozwijać. Zaniedbanie tego sprowadziło smutne następstwa, o czém nie należy nigdy zapominać.

Na sejmie tym w Radomiu, po rozbiorze sprawy Szach-Achmeta i uchwaleniu poboru na obronę kraju, sejmujący pragnąc chociaż w części zapobiedz licznym rozbojom i łupieztwom bardzo rozszerzonym, skazali na ścięcie Osuchowskiego i Misowskiego, a kobietę Rusinowską w męzkim stroju przewodniczącą bandzie i tak uchwyconą na powieszenie w témże samém przebraniu.

Król zaś Aleksander tknięty paraliżem zawieziony został do Krakowa, gdzie za staraniem lekarzy, podniesiony cokolwiek z choroby, pojechał na sejm do Lublina na którym sprawa Szach-Achmeta ostatecznie rozstrzygniętą została.

(d. n.)

---

* * *

Zima, przedstawiana zwykle w postaci jasnokościstéj jędzy okrytéj dziurawym łachmanem, szczękająca zębami, chuchająca w ręce, trzęsąca się, chwiejąca i utykająca, w ostatnim swym zwyczajnym przebiegu, łagodna, sucha nawet jakby uśmiechająca się do pierwiosnków i słowika, dziś choć to początek dopiéro Października zaczyna się srożyć, dokuczać wichrem, błotem, roztopami, a nawet już pruszyć drobniutkim śnieżkiem. To też letnie wiślane kąpiele, stoją opuszczone, dumając w swém osamotnieniu nad marnościami świata, ogród Saski szeleści spadającym z drzew suchym liściem, publiczność ogródkowa i altankowa skryła się do zimowych pomieszkań, na ulicach pokazały się rękawki futrzane a nawet całe futra, a w niektórych domach ognie na kominkach i w piecach strzelając ochoczo iskrami, hucząc wybiegającym płomieniem i nadsłuchując ciekawie cichych szeptów rozmowy. Tylko Wisła bez żadnéj odmiany, świeżym przyborem wody rosnąca w majestat, płynie z jedną zawsze powagą, a choć dąsa się i swarzy bałwanami, zawsze lubię spoglądać w jéj uciekające pod oczami fale, iść z ich biegiem, ścigać nawet myślą i snuć złotą tkankę marzeń, bawiącą młodych a starych rozkoszującą. Są jednak ludzie gardzący marzeniami jak fałszywą monetą, lub spekulacją żadnego nie przynoszącą zysku.... Bóg z niemi!

Marzenia, echo chęci, myśli i nadziei ludzkich, pyłki dumań unoszące się między niebem i ziemią, delikatne to wprawdzie i wiotkie istotki, ale czyż można je odrzucać ze wzgardą jak zabawki dziecinne, nie mające większéj od nich wartości? Pobawmy się więc marzeniami, choćby tylko dla wywiązania się z przyrzeczenia jakie Wam zrobiłem w ostatniéj pogadance, przedstawienia tego co chciałbym i pragnął dla naszéj społeczności.

Otóż pragnąłbym, aby u nas kiedyś mogło się zawiązać nietylko w Warszawie, ale we wszystkich większych miastach, towarzystwa gimnastyczne, na wzór czeskich Sokołów albo niemieckich Turnvereinów. Nie dawno popis delegowanych z rozmaitych księztw Związku niemieckiego od stowarzyszeń gimnastycznych odbył się w Akwisgranie, w obec licznego tłumu mieszczan i okolicznych mieszkańców. Wszyscy delegaci ubrani byli w jednakowego kroju spencery i spodnie z białego grubego płótna przepasywani różnobarwnemi szarfami. Kapelusze tylko mieli różnego kształtu, z wstążkami, kokardami i przepaskami różnych kolorów, stosownie do barw okolicy z któréj przybywali. Na łące równéj, zieleniejącéj, okolonéj widzami, rozstawieni szeregami *turnerowie*, wykonywali rozmaite ruchy, kształcące ciało, dające zręczność i siłę muskularną. Na wzniesieniu przed szeregami stał przewodnik i chorągiewką kierował ich poruszeniami, a wszyscy jednocześnie, jakby sprężyną poruszeni, robili wskazane ćwiczenia przy donośnéj muzyce i wystrzałach z mozdzierzy. Potém cała ta gromada uszykowała się w liczne wieńce, i idąc za taktem marsza, zataczała różne koła, obroty, łuki, to zwijając się w ciasne grupy, to rozwijała szeregi i gromadki sztucznie powikłane, co wszystko nader malowniczy przedstawiało widok. Po różnych potém ćwiczeniach w gonitwie, skakaniu z wysokiéj trampoliny, łamaniach, wystąpiło kilkunastu mistrzów w téj sztuce, obudzając ogólne zadziwienie, że ciało człowieka dało się wyrobić do takich skręceń, wygięć i takiéj sprężystości i siły.

Cóżby to był za piękny i radosny widok gdyby u nas kiedyś podobny popis odbył się np. na marsowym placu pod Powązkami!

Pragnąłbym także, aby u nas z czasem mogło się zawiązać towarzystwo macierzyńskiéj opieki dla panienek, niezamożnych rodziców, w celu udzielania wychowania i kształcenia ich w kunsztach i rzemiosłach. Pani Lemonnier w Paryżu piérwsza myśl tę wprowadziła w wykonanie, literaci, wydawcy, fabrykanci, nauczyciele, wsparli ją bezinteresowną pomocą i dziś już znajdują się dwa zakłady mogące z wszelką wygodą pomieścić w sobie po dwieście uczennic.

Lekcje odbywają się rano; po południu panienki pracują w warsztatach i obok szycia, haftów, robót damskich i sztucznych kwiatów, z równém staraniem jest uprawiany, śpiew, malarstwo, rzeź-

ba, sztycharstwo i t. p. Opłata miesięczna wynosi fran. 10, niezamożne panienki przyjmowane są darmo, kurs nauk odbywa się podług programu dla szkół żeńskich przepisanego.

Cóż to za zacny i szlachetny pomysł! ileż dobra rozsieje po świecie zataczając coraz szerszy promień swéj działalności.

I jakżeż nie mam życzyć sobie, aby u nas kiedyś wszedł w wykonanie?

Pragnąc każdemu wiekowi przysłużyć się jakiem marzeniem, chciałbym także w chęci zabezpieczenia młodzieży dorosłéj, od bezcześci jaką spada na nią przez niecne postępowanie niektórych *błaznów*, przy pomocy zalotów, umizgów, jedwabnych słówek, obietnic małżeńskich, spekulujących tylko na zarobek pieniężny, utworzenie pewnego rodzaju sądu, któryby karcąc podobnie niegodne wykroczenia zasłaniał młodzież od szwankowania, na jakie mimowoli w godności swéj zostaje narażoną. Niedawno powtórzył się podobny wypadek.

Jednemu z podobnych *bałwanów* spodobała się panienka miła, poczciwa i pracowita ale uboga i sierota i jak zwykle bywa z miłosierdzia mieszkająca przy krewnych. Skutkiem usilnego starania nadskoków, przymileń, oświadczeń, i jedwabnych słówek wiercipięty, panienka przywiązała się z całym zapałem młodego serca, nastąpiły więc oświadczyny, zaręczyny a nawet wyznaczono termin ślubu.

Na kilka jednak tygodni przed aktem spekulant oświadczył, że ma złp. 2,000 długu, a gdy rodzina przyrzekła umorzenie ich, zażądał złp. 30,000 posagu, grożąc zupełném zerwaniem. Naturalnie paniczowi drzwi pokazano, a biédna panienka spokojna przedtem, dziś cierpi i boleje podwójnie, z zawodu miłości i wiary w szlachetność człowieka. Zapewne że to bolesne, ale z dwojga złego wybierając, lepiéj że się pokazał nikczemnikiem przed, jak po ślubie: opuszczoną Bóg pocieszy, a dla jéj koleżanek, niechże to będzie nauką, jak strzedz serce, jak wiele trzeba subtelnych ostrożności żeby człowiekowi uwierzyć, jak do saméj chwili ślubu stać należy na straży swéj godności, która każdą kobiétę robi aniołem domowego ogniska. Przebaczcie, że tych taksów węszących złote trufle, przezwałem po prostu *błaznami i bałwanami*, ale dla spekulantów małżeńskich igrających z cudzą spokojnością jak kot z myszą, szastających przywiązaniem jak młódkami w kartach tyle czuję wzgardy, że radbym ich potopić nie już w łyżce wody, ale w błotnéj kałuży, brudem ich przypominającéj.

Idąc daléj w marzeniach, radbym aby u nas kiedyś, były obowiązujące prawa przeciw złym mężom i ojcom, jak to obecnie ma miejsce w Szwajcarji, w któréj niedawno jeden z takich za złe skutkiem pijaństwa obchodzenie się z żoną i z dziećmi skazany został na 18 dni więzienia o chlebie i wodzie, na 25 rzemiennych przypomnień i na półtora roku zamknięcia w domu poprawy. Sroga to zapewne kara, nawet coś zwierzęcego mająca w sobie, ale z podobnemi wyrzutkami społecznemi, czyż można po ludzku postępować?

Gdyby u nas złym mężem nazywano człowieka, co pozwala na zbytek i marnotrawstwo, a złym ojcem wychowującego dzieci na próżniaków, paniczyków, dandysików i różne gatunki oślików, prawo prędzéj miałoby co do roboty.

Powiadają że we Francji rady kościelne zajmowały się rozbiorem wniesionego projektu podniesienia ceny krzeseł wynajmowanych w kościele, z czego zebrany fundusz używany bywa na reperacją kościoła. Usprawiedliwieniem do wniosku, było zbyteczne rozszerzenie się krynolin, tak dalece że gdzie dawniéj sto osób wygodnie mogło się pomieścić, dziś najwyżéj 35 pomieszczenie znajduje. Powiadają także, że na przyszłe zapewne lato, upowszechni się moda lasek którą wszystkie kobiéty skwapliwie pochwycą, nie w celu podpierania się tylko w chęci popisu ich subtelnością i kosztownością. Cesarzowa Eugenja bawiąc w Schwalbach używaniem laski na przechadzki, piérwsza téj modzie dała początek; za nią poszły elegantki Wiednia i Berlina.

O Paryżu jakoś jeszcze nie słychać, ale jeżeli między zamożniejszą klasą dosyć upowszechniły się chustki tkane złotém, prędzéj mogące nos podrapać jak obetrzéć, to zdaje się że i na laski nie będziemy długo czekać.

Otóż pragnąłbym, aby krynoliny u nas nigdy nie przyszły do takiéj monstrualności, żeby aż stanowiły kwestję narady jakiejkolwiek władzy, żeby dziś niektóre zbytecznie rozszerzone, zeszczupliły się; żeby skrócone suknie o dwa, najwyżéj trzy cale, przestały pełnić obowiązki zamiataczy ulicznych, ułatwiać przydeptywanie dla przechodzących i bezpotrzebnie obwieszać się w festony: żeby wreszcie lasek nigdy nasze Polki nie ujęły w poczciwe swe ręce, bo co do chustek tkanych złotem jestem najzupełniéj spokojny. Prędzéj bowiem bez chustek niedługo nauczemy się obchodzić i bez wielu innych niezbędnych rzeczy, jak będziem w możności dopuszczania się tyle rażącego zbytku.

Na tém kończę... wprawdzie czego jeszcze pragnie serce moje nie wyciągnąłem z niego do dna samego, ale brak miejsca wytrąca mi pióro z ręki.

MODY.

Moda jesienna zaczyna się ustalać. W magazynie pani Klementyny B. widzieliśmy mnóstwo ładnych kapeluszy jedwabnych, przybranych aksamitem, a nawet i całych aksamitnych.

Wszystkie w ogólności mają formę fanszonika. związanego pod brodą na szeroką wstążkę. Niektóre tak są maleńkie, że patrząc wprost, wcale ich nie widać i ráczéj wyglądają na czepek niż kapelusz. Podpięcia nad czołem dosyć są niskie, złożone z plisy lub wody aksamitnéj, zakończonéj na boku kwiatkiem. Tył główki bardzo za to przybrany koronką, kwiatami, wstążką lub puklami aksamitnemi z długo spadającemi końcami. Między innemi ładny był kapelusz z fijołkowego aksamitu przyciągany w rodzaju kapotki. W miejscu karczka wygarnirowany był falbanką aksamitną na trzy palce; na ten garnirunek spadała dosyć szeroka koronka, z pod niéj zaś kokarda złożona z dwóch pukli, i z końców długich blisko na łokieć. Wstążka fijołkowa użyta na tę kokardę, tak była szeroka, jak szarfy do wiązania pod brodą. Nad czołem wpięty był diadem z kwiatków aksamitnych fijołkowych pomięszanych z czarnemi; boczki wygarnirowane białą blondynką w podwójne kontrafałdki.

Czepeczki teraźniejsze tak strojniejsze jak i negliżowe, mają takąż samą formę jak kapelusze, to jest zachodzą mocno na czoło z tyłu zaś kończą się po nad kokami z włosów, garnirunkiem i kokardą z długiemi i szerokiemi końcami. Czepeczki w magazynie pani Klementyny nacechowane są wytwornym gustem, elegancją i umiarkowanemi cenami.

Z pomiędzy nowości, ukazały się w tych dniach siatki sznelowe w kształcie kaszkiecików Szkockich, przybrane z przodu maleńkim daszkiem ze szneli i kokardką aksamitną, przytwierdzoną złotym lub lawowym guzikiem, z za którego wychodzą w górę dwa piórka. Czapeczki takie służą do codziennego ubrania. Z pod nich spadają koki z włosów, zaplecione w warkocze.

Młode panienki ubierają głowę kolorową aksamitką na dwa palce szeroką. Nad czołem pomiędzy niobami, aksamitka ta tworzy płaską kokardę, dalej przeciąga się w koło głowy, otacza koki z włosów, i przewiązuje nad lewym uchem na kokardę z długiemi końcami. Jeżeli koki są niepleciońe w takim razie, należy je pokryć niewidzialną siateczką, żeby się nie targały; jeżeli zaplecione w warkocz, siateczka niepotrzebna.

Okrywki jesienne mają po większéj części kształt nie zbyt długich burnusów. Robią je z sukienka, z weluru albo gładkiéj flanelki. Widzieliśmy takie burnusy czarne w wielkie muchy zarabiane sznelą lilla albo solferino. W koło zdobiła je torsadka sznelowa, tegoż koloru jak muchy. W magazynie pana Thonesa i Matuszewskiego znajdują się małe paletociki z multenu, czyli flaneli z kutnerem, jako téż całe barankowe, na jedwabnéj podszewce bardzo téż używane. Strojniejsze robią z grubego pluszu jedwabnego. Młode osoby noszą je wcięte do figury, krojem surdutowym z dużemi guzikami lawowemi.

Materje jedwabne najmodniejsze w podłużne pasy rozmaitych rozmiarów. Najczęściéj pasy bywają tegoż samego koloru jak tło tylko znacznie ciemniejsze. Do wyjścia na ulicę, używają najwięcéj sukien gładkich wełnianych, wyszywanych u dołu aksamitką w rozmaite wzory. Z pomiędzy innych przytaczamy suknię z wełnianéj popeliny popielatéj, wpadającéj w kolor stalowy. Spódnica była podwójna, jedna nie zbyt długa, naszyta u dołu w kratę aksamitką czarną. Druga wierzchnia spódnica bardzo długa, miała bryty przymarszczane u dołu i tworzące festony. Pomiędzy każdym brytem szedł słup szeroki blisko na ćwierć łokcia, naszyty w kratę aksamitką, do którego przyszyte były owe marszczone bryty. Wierzchnia ta spódnica, kończyła się u dołu wązkim rulonikiem aksamitnym. Miejsce stanika zastępował krótki paletocik wcięty do figury, z wpuszczonym z tyłu wielkim fałdem. Cały tył paletocika naszyty był trzy razy w podłuż aksamitką w kratę i przybrany dużemi guzikami.

Inna suknia popelinowa koloru hawanna miała u dołu na środku każdego bryta, wyszyty bukiet z piór strusich czarną sznelą. Paletocik tak samo był ozdobiony. W ogólności pióra bardzo modne, nie tylko że ich używają do ozdoby kapeluszy i ubiorków na głowę, ale wyrabiają materje w deseń z piór różnéj wielkości, noszą także brosze i kolczyki, w kształcie piórek złotych, srebrnych albo oksydowanych.

Z biżuterji najmodniejsze koralowe, szkoda tylko że korale dochodzą do tak wysokiéj cěny że niezadługo, dostępne będą tylko osobom nadzwyczaj zamożnem.

Pojawiły się w tych czasach, szerokie paski skórzane, naklejane aksamitem w deseń, noszą je zwykle w naturalnym kolorze skóry. Aksamit bywa czarny, brązowy lub fijołkowy.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia lilla *poult de soie*, wycięta u dołu w zęby objęte ciemniejszą materją. Z pod tych zębów spada fałdowany wolancik pokryty na wierzchu koronką. Staniczek otwarty z przodu z karoczkiem, przybrany odpowiednio do spódnicy, kamizelka fularowa albo z piki. Rękawy obcisłe, wycięte u ręki w zęby z pod których wychodzi koronka. Na ramionach stosowne epolety. Na zarzucenie chustka gazowa ogarnirowana koronką. Kapelusz jedwabny bez karczka, naciągany w bufki, przybrany lekkiemi kwiatami lilla.

Figura 2. Suknia muszlinkowa albo bareżowa w rzucik. U dołu trzy falbanki, odwrócone w górę z jednego boku, i dochodzące do paska zwężając się stopniowo. Stanik wycięty czworograniasto, i wysoko zachodzący na ramiona zakończony w górze wąziuchną falbanką. Z pod stanika u dołu spada falbanka trochę szersza. Rękawy obcisłe wygarnirowane dwa razy falbanką, odwróconą do łokcia. Chusteczka muszlinowa biała, zakończona wstawką i brzegiem walansienką. Chusteczka ta krzyżuje się na piersiach, po bokach zaś tworzy dwie okrągłe klapki. Kapelusik ryżowy, przybrany piórami z aksamitem. Brzeg ronda obszyty koronką, która przysłania twarz do połowy.

Ubranie 9-cio letniéj dziewczynki. Sukienka alpagowa biała, ogarnirowana u dołu falbanką. Główkę u falbanki tworzy aksamitka przeciągnięta przez podwójne pukielki z aksamitki, dawane w odstępach, pomiędzy fałdami falbanki. Zamiast stanika, pasek szwajcarski przybrany odpowiednio. Przez ramiona idą szelki z epoletami. Pod spód koszulka biała muszlinowa, układana w zakładki z rękawkami. Kaszkiecik słomkowy przybrany aksamitką.



Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Nru 42 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 15 Października 1864 roku.

NA CMENTARZU, NA WULKANIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg.)

Spauer słuchał milczący, ale w téj chwili wszyscy się ruszać poczęli w dalszą podróż, kawałek jeszcze mały pozostawał do przebycia konno, nim pieszo po lawach zastygłych puścić się mieli, kobiety posadzono na konie, mężczyzni wszyscy prawie postanowili iść piechotą, a tłum przewodników i pomocników trzykroć liczniejszy niż towarzystwo, z okrzykami, śmiechu trzpiotowatością dziwną, posunął się za wędrowcami. Wielu przyłączyło się do wyprawy tylko aby coś zarobić, inni w istocie czuli się potrzebnemi, bo chociaż wdrapanie się na Wezuwjusz jest nie zbyt trudném przedsięwzięciem, dla słabszych pomoc nie jest do wzgardzenia..

Wkrótce po wyjeździe z pustelni, minąwszy obserwatoryum, cała grupa w milczeniu przybyła do miejsca, gdzie potok czarnéj lawy zastygłéj zmuszał porzucić rumaki, które tu pod opieką kilku ludzi pozostawały.

Widok ztąd na dolinę pełną żużli i niby zastygłéj smoły, robił dziwne wrażenie, jakby Dantejskiego pejzażu. Lawa szerokim korytem przed laty z góry spadła, przedstawiała potok węgla roztopionego i nagle stężałego.

Powydymana, falista, spękana, przez głębokie szapary dymiące dawała gdzieniegdzie dojrzéć rubinowego koloru płynący ognisty strumień, którego długie lata zagasić nie mogły.

Po téj czarnéj skorupie przerzynanéj głębokiemi rozpadlinami przechodzić było potrzeba, aby się dostać w najstarszy krater zastygły wulkanu, dziś pusty dolinę dzielącą dwa rozszarpane wybuchem przed dwoma lat tysiącami wierzchołki.. W lewo piętrzyła się płowa, sucha, dzika Somma, w prawo spiczasty wierzchołek dymiącego Wezuwjuszu.

Przewodnicy włosi widząc przestrach kobiet poglądających na czarne morze węgla i szczeliny jego ogniste, na skorupę chrupiącą pod stopami i załamującą się niekiedy poczęli się śmiać i podśpiewywać, tryumfując z odwagi własnéj. W istocie niebezpieczeństwo w téj części wycieczki nie jest wielkie, trudność tylko czepiania się po skorupie téj czarnéj z początku zraża, ogień który w szczelinach pod stopami się ukazuje, onieśmiela, brak drogi wyraźniejszéj bałamuci, ale prawie wszędzie przejść można mniéj więcéj wygodnie.

Niekiedy wzdęta skorupa szumowin czarnych załamuje się, ale najczęściéj nie głęboko, a rozpadliny łatwo przeskoczyć, gdyż nie są szerokie. Wędrówka ta byłaby nawet daleko mniéj ciężką, gdyby przewodnicy nie wybierali naumyślnie miejsc najbardziéj połamanych, ostrych, szczelin najszerszych, aby na podróżnym zrobić wrażenie i naturalnie zwiększyć nagrodę za pracę i trudy.

Wracając zmęczeni znajdują zawsze ścieszki łatwiejsze. Człowiek roztropny mógłby z trochą uwagi sam sobie dać rady, ale w pierwszéj chwili te fale stężałe, czarne, kruche, dymiące, onieśmielają... stawia się nogi z obawą.

Angielki choć obyte z wielą wyprawami, okazały nieco przestrachu, Hrabina Adela oddała się spokojnie w ręce barczystych przewodników, mężczyzni nawyklejsi do niebez-

pieczeństwa i gimnastyki zaczęli się nawet trochę popisywać ze zręcznością.

Do Szweda zaraz przylgnął Spauer, Przeręba i Sestini chociaż spokojny ten przybysz nie był wcale artystą, ale dusze, rozmiłowane w pięknie poczuły bratniego ducha w człowieku, który ideału moralnego piękna szukał na ziemi.

— Mamy szczęście do oryginałów, rzekł patrząc z ukosa na Swedenborgistę Vicehrabia garbaty, ten także ma minę niedokończonego kwakra. Dzięki Bogu przynajmniéj że nam nie zesłał jakiego eleganta... wolę takiego apostoła... jest to rzadka potrawa...

Spauer co chwila stawał i zachwycał się powagą widoku, dzikością tego kąta, którego pędzel tknąć by nieśmiał, bo wiernie trzymając się prawdy, musiałby być posądzony o przesadę. Wszyscy z ciekawością zatrzymywali się nad roztwartemi otchłaniami w których błyskały ognie krwawe od dziesiątka lat płynącéj lawy.

— Co za wyśmienite dziury dla samobójców, wołał garbus, jak przyjemnie możnaby w mgnieniu oka spalić się na popiół, nie zostawując po sobie ani kości na szuwax dla niewdzięcznych potomków, ani śmierdzącego nawozu kupy!...

Kobiety krzyczały gdy je przewodnicy przeprowadzali po nad przepaściami, ale spoglądały w nie z ciekawością bojaźliwą, przez palce, któremi oczy zakrywały. Pochód ten trwał dosyć długo, a towarzystwo musiało w ciągu tego przejścia przez czarne lawy rozpierzchnąć się nieco, i ciągnęło długim sznurem, po nierównych płytach i złomach skorupy ognistego strumienia. Włosi odgrywając swą rolę przedziwnie, na każdy okrzyk obawy odpowiadali wesoło.

Coraggio! coraggio!
Maccaroni col fromaggio!

Koncepcik ten aż do uprzykrzenia się powtarzał.

Najodważniejszą z niewiast była Hrabina Adela, nikt by w niéj teraz nie poznał owéj przelękłéj w Campo Santo czasu burzy istoty, tulącéj się z dziką obawą od błysków nieba i oczów ludzkich, odwaga jéj nawet była nieco popisową. Stawiła śmiało stopę na kruchych lawy pokładach, a chrzęst załamujących się jéj wydęć, wcale ją nie onieśmielał, uśmiechała się, zatrzymywała, patrzała w szpary ogniste i powtarzała z cicha.

— Przecudowne! prześliczne! co za charakter w tym pejzażu! jaki koloryt piekła.

Hrabia Zygmunt szedł zamyślony obojętnie, niekiedy z ukosa rzucał wzrokiem na swą rodaczkę, ruszał nieco ramionami i uśmiechał się. Szwed milczał w skupieniu ducha, zdawał się modlić wewnętrznie. W istocie widok tego szeroko rozlanego morza węgla, nagiéj Sommny, wyschłéj piramidy Wezuwjusza, poprzerzynanéj dymiącemi jeszcze strumieniami niedawnego wybuchu, a po nad tem lazur czysty, jasny, jaskrawy niebios stanowiły całość dziwnie piękną i poważną. Nie był to krajobraz do malowania, ale jakby sen innego świata.

Sestini uszczęśliwiony po cichu szeptał żonie swe myśli o dziwnym charakterze okolicy.

— Trzeba by tu tych ludzi sprowadzić, mówił, co nie wierzą w to, ażeby natura mogła myśl jakąś wyrażać i pejzaż uważają za rodzaj podrzędny, przekonaliby się najlepiéj jak wiele mówić mogą skały, kamienie, szkielety ziemi. Patrz! jak my się tu śmiesznie wydajemy wśród téj karty olbrzymiéj narysowanéj ręką Bożą, jak dziwacznie wyglądają nasze stroje, nasze figurki, nasza nicość w pośród tego jeziora asfaltowego z pod którego skamieniałych fali bucha od lat tylu nie wygasły płomień. Co za cuda! co za cuda!

Nie bez kilku ośliźnień i wykrzyków przebyto wreście owo morze i podróżni odetchnęli na piasczystéj, kamieniami wulkanicznemi zasianéj dolinie, dzielącéj, Sommę od Wezuwjusza.

Tu potrzeba było spocząć i nabrać sił do wdrapania się na górę, ztąd właściwie rozpoczynało się najtrudniejsze zadanie. Przewodnicy ocierając pot z czoła, gotowali krzesła, szlejki skórzane, któremi ciągnąć mieli

mężczyzni silne ręce do podtrzymywania osłabłych. Wnijście na Wezuwjusz nawet dla anglików, którzy nieraz odbywali już pieszo wędrówki na Flegirę, Montanve i wyniosłości otaczające Montblanc, było rzeczą wcale nową. Inna jest po dobrze utartéj ścieżce na mule posłusznym, oswoiwszy się nieco z widokiem przepaści u stóp, powolnie wjeżdżać lub wchodzić po twardym gruncie a choćby ostrych kamykach, na zmniejszoną krętą drożyną wysokość, a inna wléźć na taką głowę cukru jak Wulkan Neapolitański, stromą i zawaloną żużlami przepalonemi i ostremi, które nogi kaleczą lub popiołem w którym się po kostki tonie. Większa też część wędrowców każe się nieść na krześle czterem silnym i przywykłym do tego ludziom, lub (co taniéj) ciągnąć na pasku skórzanym, nie wielu zdyszanych z biciem krwi i twarzą zbrzękłą potrafi dobić się o własnych siłach na małą płaszczyznę, otaczającą krater.

W tak licznem towarzystwie jak było opisane, w części z kobiet złożonem, miłość własna musiałaby grać także pewną rolę gdy przyszło do wyboru środków podróży. Panie spojrzawszy na tę ścianę kamienistą i bezdrożną, odrazu się oświadczyły za krzesełkami, mężczyzni wszyscy chcieli iść o własnéj sile, o własnych kijach, odrzucając szlejki jako coś upokarzającego, a krzesła jako oznakę słabości. Przestrzeń do przebycia na oko nie dająca się rozmierzyć, zdawała się zrazu nie tak bardzo znaczną, aby jéj rozbudzonem współzawodnictwem i chęcią popisu nie można przebyć z trochą bodajby wysiłku. Szwed tylko nie wstydził się przyjąć ramienia człowieka do pomocy.

— Będę silniejszy dostawszy się do wierzchołka, rzekł, aby tam podziwiać widok, którego wyznaję, jestem bardzo ciekaw i niecierpliwy oglądać.

Po krótkim przestanku w dolinie, w czasie którego ledwie kilka słów przemówiono do siebie, mierząc się tylko oczyma, obawa aby się nie opóźnić i korzystać z krajobrazu o samym słońca zachodzie, spędziło wszystkich na drogę ku wierzchołkom stromym.

Nie będziemy jéj opisywali, gdyż część ta wycieczki zawsze jest prawie aż do śmieszności nużącą, i rzadko kto kończy ją w ten sposób jak zaczyna.

Kobiety trzymając się krzeseł wykrzykiwały ze strachem gdy się one nieco pochylały, choć nie było cieniu niebezpieczeństwa, mężczyzni wkrótce poczuli bóle w nogach i zawrót głowy, a choć zmieniali ścieżkę idąc to kamieniami obsuwającemi się im z pod nóg, to popiołami w których grzęźli, choć przystawali, choć im potajemnie przewodnicy towarzyszący podpomagali, choć parę razy i wino niesione w koszach i owoce orzeźwiły znużonych, niewielu dostało się na płaszczyznę kraterową bez okrutnego i widocznego wymęczenia. Anglicy najlepiéj znieśli tę drapaninę. Vice-Hrabia który zrazu udawał olbrzyma, w pół góry na wakującém zasiadł krześle. Hr. Zygmunt blady, straszny, wściekły, choć padał, odpychał ludzi i pierwszy się dostał na wierzchołek udając młodego, ale tu musiał w gorących usiąść popiołach, tak mu nogi drżały.

Wielkie do przezwyciężenia trudności, trzeba wyznać, opłacają się sowicie na wyżynie. Równina niewielka wśród któréj czarna, zadymiona, głucho hucząca otwiera się przepaść do wnętrzności ziemi sięgająca, przedstawia pejzaż w swoim rodzaju zupełnie nowy. Cała ona zasłana jest popiołami szaremi, żużlami, kamieniami, jednostajną barwą siarczaną, bladą żółtą okrytemi. Ten dziwny ton obrazu, dzikość jego, spustoszenie, nadają mu odrębny zupełnie charakter.

W oddaleniu rozwija się daleko, daleko urocze widowisko niezmiernéj panoramy, morze bez granic jak zwierciadło, wybrzeża malowane barwami pełnemi świeżości, miasta, miasteczka, góry, wyspy roślinne w pobliżu zatoki. Wszystko to z wyżyny kilku tysięcy stóp już wcale inaczéj wygląda, niż w zwykłych warunkach do jakich przywykliśmy rozległym nawet przypatrując się wi-

dokom, przedmioty skupione formują jakby z mozajki wysadzaną mappę topograficzną, na której pasy zielone oznaczają lasy, wstęgi, ledwie dojrzane drogi, białe punkciki największe gmachy, a morze widziane z góry odbija niebiosa jak lustro z najmniejszemi szczegółami... marszczki fali nikną i przestrzeń cała zdaje się taflą szkła lśniącą. Dodajmy do tego niebo neapolitańskie z kolorytem swym gorącym, zachód słońca w łożysku obłoków najwspanialéj pofarbowanych, i światła strumienie oblewające najmniejszy zakątek téj niezmierzonéj dali...

Pogoda przecudna sprzyjała podróżnym, a białe nawet runo chmurek osunęło się powoli na krańce widnokręgu, lazurowe sklepienia zdawały się wykute z szafirowych kryształów. Ale niewiedzieć co tu było oglądać, czy to tło tak cudne, czy sam pierwszy plan panoramy siarczysty, szary, i brudno nieco wydający się przy zachwycających barwach oddali. Z ust gorętszych widzów mimowoli wyrwał się okrzyk zachwycenia... tak to było nowém, tak wspaniale piękném, tak niespodzianie mimo zapowiedzeń i nadziei majestatyczném. Nim się zbliżono do krateru, nim prozaiczni przewodnicy zaczęli grzebiąc w ciepłych popiołach piec przyniesione jaja, (co robią dla wszystkich sądząc że nawiększe uczynią na podróżnych wrażenie tą kuchnią dziwaczną) widzów oczy pobiegły w stronę morza, i Neapolu, a Szwed zdjąwszy z wyłysiałéj głowy kapelusz zaczął się w extazie milczącéj modlić.

— Wielki jesteś Boże żeś to stworzył, coś nam dał patrzéć na to, rozumiéć, czuć, podziwiać... chwała Ci, chwała!! I na tych zgliszach świątynia Twoja! i ten spokoju stóp naszych i ta burza obok, i te konwulsyjne drgania skorupy... są to oznaki Twéj potęgi... a my maluczcy co świat nosiémy pod niedojrzaną czaszką, którą lada kamyk roztłuc może, nie jesteśmyż także cudem Twéj ręki!! Ale gdzież pierś coby godny Ciebie hymn zanuciła...?

I powieki zaszły mu łzami.

— Przyznam się panu rzekł wysiadając z krzesła de la Meilleraie, otrząsając pył ze siebie i ocierając czoło, że wszystko to zakrawa na wielką decepcją, spodziewałem się czegoś lepszego po naturze... nadewszystko czegoś oryginalniejszego, kanarkowe popielisko... duży piec w pośrodku, a w dali... nieciekawie namalowana mappa niedokładna. Nierozumiem nad czém się tu mamy unosić!

— Ani ja! zawołał Hr. Zygmunt, któremu tchu prawie brakło od zmęczenia, ale podróżni powinni być przywykli do wszelkiego rodzaju zawodów, które ich niechybnie spotkać muszą, we Włoszech szczególniéj gdzie wszystko są miraviglia, dopóki się za odkrycie zielonéj firanki nie zapłaci....

Szwed spojrzał z politowaniem dobrodusznėm na rozprawiających, ale nie myślał ich drażnić przeciwieństem, odsunął się cicho i patrzał z uwielbieniem.

Dzielił je z nim Anglik, który chwyciwszy okiem obraz, myślał zarazem jakby pobyt na wulkanie czemś dziwném, excentryczném oznaczyć... oświecenie jakie Bóg dał niestarczyło dla niego, dekoracja była za pospolita, chciał to miéć czego nie mieli inni, coś uczynić czegoby przed nim nikt jeszcze nie zrobił. Nieszczęściem wszystko możliwe było przez poprzedników wyczerpaném. Kilku dziwaków rzuciło się w otchłanie, inni, probowali spuszczać się w przepaść na sznurach mimo duszących siarczystych wyziewów, nie jeden tu noc przepędził. Sir Price kłopotał się nieumiejąc nic wymyśléć całkiem nowego. Przyniesione w koszach wino, przekąski, łakocie, owoce, które w Neapolu zabrano machina do herbaty i podwieczorek u krateru były wprawdzie innowacją, bo nikt prócz uczonych badaczów nie zatrzymuje się długo wśród atmosfery przykréj, dymu i gorąca... Mimo wielkiéj chętki wstrzymania tu swoich gości, Sir Price przekonywał się iż wypadnie gdzieindziéj spokojniéj zasiąść do herbaty, bo tu długo wytrwać słabszym piersiom było niepodobna, tém mniéj bawić się swobodną rozmową. (d. c. n.)



TYGODNIK MÓD

Warszawie

Nr 42.